

Tygodnik,

3 *Stycznia* — I. — 1818.

ODEZWA TYGODNIKA
do swoich starszych Braci, innych pism perjodycznych.

Słaby jeszcze i wahający się, staję przed Wami, starsi Bracia moi, może godny tak szanownego grona, może zbyt śmiały, że się do niego natrętnie wdzieram. Wady i przymioty moje, byt mój nawet, gruba jeszcze przyszłości okrywa zasłona. Czyli jest przeznaczeniem mojém pułki księgarni, czy sklepów

korzennych zajmować, czy z wielką częścią spółczesnych kolegów, jak niegdyś Karól V. pogrzebowi memu żywcem mam asystować, czy ze ś. p. Pamiętnikami Switkowskiego, Dmóchowskiego, Osińskiego, i Zagranicznym, co cyprysy swoje laurem uweselili, miłą pamiątkę i żal spółziomków poniosę do grobu, wszystko to na łonie Jutra, głęboko jest zakryte. Szanujmy tę noc niewiadomości, która skrzydły swemi kolébkę moją osłania, bo jest pogodna, bo gwiazda nadziei, choć zdaleka, choć słabo, ale mile błyska; a kto wié, czy jutrzenka równie będzie przyjemną. Nie jeden z Was, zazdrości mi pewnie stanu, w którym o losie swoim jeszcze wątpić wolno. Ale cóż czynić! Trzeba się raz odważyć. Wié żołnierz, że na polu walki grady śmierci biją, przecież na nią idzie śmiało.

Musieliście słyszeć Panowie moi! o pewnym rostropnym człowieku, który wracając do domu, wystawiał sobie zawsze, że go największe czekają nieszczęścia ażeby się cieszyć nie tylko z pomyślnych wypadków, ale i z klęsk niedoświadczonych; tak i ja idąc przed sąd publiczności, widzę gotującą się nawałność, widzę ostrzące się na mnie w surową krytykę brzemienne recenzentów pióra. W tak drażliwém położeniu raczyło mi podszepnąć doświadczenie: „Patrz, jak inni ludzie wychodzą! Protekcja daje miejsca, protekcyja daje talenta„. Uciekam się więc pod Waszą protekcję starsi Bracia moi, szczególniéj pod Twoją szanowna

babko wszystkich pism perjodycznych Gazeto Warszawska! Długoletnie utrzymywanie się na teatrze świata dało ci wielką powagę. Wyrocznio Narodu! Ty co jedném tchnieniem nadymasz tysiąc trąb sławy *), przyjm mię za swego klijenta, znajdziesz wdzięcznego. Niech sarka zawiść, że nieodstępne wieku przywary, i ciebie zaraziły, że zamiast nowin, starodawne przetapiasz dzieje, że się kochasz w dykteryjkach i anekdotach; niech upatrują w tém śmieszność, że zbrzydziwszy sobie stan wdowy, połączyłaś się z Pustelnikiem, krórego plantacja Nadsekwańskich kwiatów, po prostu w grunt nasz wsadzonych nienajlepiej się przyjęła... wszakże i w słońcu znaleziono plamy!

O wy! co wszystko od razu doskonałém mieć chcecie, odczytajcie dewizę jednego z naszych pism perjodycznych: „Nigdy ten nic nie zrobi, kto się zawsze boi źle zrobić.

I pod twoją możną opiekę udaję się Pamiętniku Warszawski! Ty któremu zarzucają, że przy terazniéjszéj naukowéj temperaturze, często zapadasz na chorobę czczości, pozwól im gdyrać; ja się wszędzie ujmę za Tobą (w podobnym razie podobną pomoc zastrzegając sobie).

A Wy inni Bracia! nie bójcie się, nowy przybysz nie pozbawi Was chleba, nie walczy on z Wami w jednymże zawodzie; ci tylko na niego prenumerować będą, którzy się zechcą zabawić.

*) Tyle się rozchodzi exemplarzy Gazety Warszawskiéj.

DZIEŃ 31 GRUDNIA.

Nikt podobno nie spyta się o datę w dniu 31 Grudnia. Chyba człowiek zupełnie odosobniony, chyba człowiek natury, jakiego sobie Filozof Gienewski uroił, mógłby nie uczuć w tém dniu żadnego szczególniéjszego wrażenia; ale z przeproszeniem wielkiego męża, i z latarnią Diogienesa dziśby takiego nie znalazł. Rozliczne związki towarzyskie każdego w tym dniu zajmują. I ostatnie zerko w długiéj arytmetyce społeczeństwa ludzkiego, odbywa dziś jakieś działanie. Koniec roku od dawna wyglądany, wyrachowany, przedmiot nadziei a czasem i niechęci, w zawieszeniu trzyma wszystkie umysły. Zdaje się, że go coś nadzwyczajnego odznaczy, że ten dzień nie będzie dniem pospolitym. Nadchodzi wreście, upływa, mija, a dopiéro się dziwiemy, że minął tak jak i drugie.

Tego dnia znużony różnemi zatrudnieniami, śpiesznie dążyłem do siebie, w mocném przedsięwzięciu na krok się nie wychylić; ale ciekawość wepchnęła mię w tłum ludzi cisnących się we drzwi i ze drzwi jednego sklepu. Był to skład różnego rodzaju kopersztychów. Lubię ja mieszać się w tłum, a nie być cząstką tłumu, lubię jako widz, znajdować się na takiém miejscu, gdzie publiczne zdarzenie, lub jaka inna okoliczność, jednakowym popędem umysły oży-

wiająca, podaje sposobność przypatrzenia się napływowowi różnych wieków i różnych klass Towarzystwa. Wszystkie uczucia dążą do jednego celu, ale ileż sporów w naganie i pochwale, ile różności zdania, ile nakoniec jednakowych zdań, na których tylko różność stanu, wycisnęła niezatartą odrębności cechę. Tam człowiek przybraną do obcowania maskę porzuca, a w obojętnéj nieznajomych zgrai, nie lęka się być samym sobą.

Widzieć tak ludzi, jaka roskosz dla oka znawcy, jakie pole dla jego pióra. Odstręczyła mię wielkość przedsięwzięcia, ale ośmiela sposób jakiego się trzymać zamyślam. Odrzekam się uwag własnych. Co ujrzę to wiernie malować będę, co z ust jakich usłyszę, to w też usta włożę; a gdybym miał wezwać jakiego natchnienia, natchnienia Bóstwa pamięci, jedynieby mi wzywać należało.

Wpadł mi naprzód w oko poważny staruszek. Postać jego nie zupełnie nowoczesna, kazała się zaraz uważać z pośród innych figur prawie jednakowych. Pokaż mi Jegomość, rzecze do kupca, jaki obrazek, żeby to można przyjacielowi na nowy rok ofiarować. Ten wskazał mu na rozłożone sztychy. Stary przypatrywał się jednemu po drugim, i ciągle ruszał ramionami: „próżna strata papiéru— mruczał sobie pod nosem; a gdy od deski przerzucił skład cały, nie mógł się wstrzymać dłużéj„ Za Sejmu czteroletniego, pamiętam, żem tu kupował wizerunki w cale inaksze. Niedaleko Prymasa, był tu sklep porządny jakich te-

raz niéma w Warszawie. Przeklęta moda przewróciła świat do góry nogami. Ani znaku dawnéj powagi i ostentacji, wszystko jakoś strasznie młodo.

Prawda, bo sam nie był młody. Czego się dotknął, to mu malowało obce już uczucia. Kilka razy wkładał okulary i chował je z niechęcią. Wybrał nareście cóś, i kupił. Była to ćwiarteczka papiéru białego złocona po brzegach, pokazywał ją wszystkim, mówiąc: „Otóż ja to wolę od reszty. Przynajmniéj co się tu wpiszę będzie do rzeczy, a złote brzegi od etykiety.„

Nie straciwszy jak półkwandransa na schowanie okularów do futeralika, i na zawinięcie kupionego towaru, zasadziwszy czapkę na uszy, i wziąwszy kij w rękę, pokłonił się grzecznie przytomnym, którzy mu się wzajemnie skłonili, i wyszedł.

Patrzałem za nim, aż mi dość przyjemnie widok jego piękna twarzyczka przecięła. Niewinne jéj oko, i skromna postawa nakazywała uszanowanie. Jakby przed Rzymską Westy Ksienią, rostępywał się przed nią tłum kupujących. Jéj wéjście zamknęło wszystkie usta, a z malowanych piękności, wszystkie oczy zwróciły się na tę, co mogła być ich wzorem. W momencie wybrała sobie bilecik, zapłaciła za niego, i nic nie mówiąc odeszła. Niewidziałem tego co kupiła, podobno z własnéj winy, jeśli to winą nazwać się może. Jéj pobyt podobny był do snu przyjemnego, bo piękna i niewinna kobiéta prócz uszanowania, rodzi w nas jakieś tkliwsze uczucie, którego opisać nie można.

Turkot zajeżdżającego kabryjoletu, ocucił mię z tego marzenia, wyskoczył z niégo jakiś elegant. Wpadł szastając się do sklepu; w mgnieniu oka wszystko obejrzał, zganił, i zniknął.

Wszedł za temi jakiś młodzieńczyk, nie musiał być długo w Warszawie. Mina jego była trwożliwa, krok starannie mierzony; zdawało się, że nieśmiał dotknąć podłogi, z bojaźni nienadeptania którego z przytomnych. Na jego ustach widać było przeprosżenie. Rumieniąc się, pytał się kupca, głosem przerywanym, czyliby niemiał dwóch serc strzałą miłości przeszytych, a od pochodni Hymenu płonących. W złéj polszczyznie odpowiedział mu Włoch, że takich serc nie tylko w jego magazynie, ale i w całym świecie nie znajdzie. Pokazał mu zatém parę serc pojedynczych. Cena ich zdała się zbytnią młodzieniaszkowi, podziękował grzecznie i odszedł. Kupiec kiwnął głową za odchodzącym: za drogo, za drogo, teraz serca nie są tanie, kto chce dostać musi dobrze zapłacić. U mnie...... Zanosił się na długi panegiryk swojéj rzetelności i dobroci swoich towarów, szczęściem wszedł jakiś Jegomość.

Z wielkiego o sobie rozumienia, które na zadartéj brodzie tron sobie obrało, wziąłby go kto za Magnata, ale jedna okoliczność zdradziła Biurzystę. Przechodził właśnie wszystkim znany Radca. Wybiegł do niego nasz kupujący aż na ulicę, powitał go z uszanowaniem, a wróciwszy się do sklepu, spoglą-

dał z góry na przytomnych, dla uważania, czy się też na jego godności poznali. Zaczął potém przerzucać sztychy, i jeszcze się nie zdecydował na wybór, gdy wąsaty Oficer szczękając pałaszem, uderzył go z tyłu w ramię i zanosząc się od śmiéchu, spytał się go: Jakże się miewasz! „Nieznośny trzpiocie„ rzekł urzędnik, któremu nienajlżejsze klapnięcie i śmiéch Oficera wcale nie przypadł do smaku. Lecz ten nie zmienił swego tonu: „Daj pokój tym szpargałom, zawołał — nieznajdziesz w nich nic dla siebie, ale co ja mam, to jakby umyślnie dla ciebie robione. Patrz„. Znowu naśmiawszy się do woli, wyjął z kieszeni papiérek i podał go Biurzyście. Ciekawość popchnęła mię między rozmawiających. I w saméj rzeczy, choć mię z początku śmiech Oficera oburzył, musiałem sam przygryzać wargi, aby się nie roześmiać na widok dzikiéj karykatury, którą przyniósł biédnemu Oficjaliście. Na kole fortuny siedział Nowy Rok w postaci Etatu z napisem 1818. Koło toczyło się uroczyście po stoliku zielonėm suknėm obitym. W rząd stali Biurowi w przesadzonych figurach i prezentowali broń, ale co za broń! pióra zatemperowane. Zajrzeć co się w téj księdze Sybilli znajduje, szeptała zgromadzeniu nadzieja, ale bojaźń wstrzymywała. Najśmielszy zbliżył się do Etatu, ażeby choć cośkolwiek między kartkami przeczytać; ale jakby czarodziejską mocą dotknięty, ledwo tam zajrzał, urosł mu nos na półłokcia.

Wieczór się zbliżył. Zaszło nareście słońce, zaszło na wieki dla roku 1817. Biletów z powinszowaniem nowego roku, biletów z powinszowaniem nowego roku, te tylko słowa brzmiały mi w uszach, ten tylko odgłos dobywał się z pomięszanéj wrzawy. Niestety! nikt o dogorewającym roku nie wspominał. Smutek mię ogarnął, niechciałem przerwać sobie miłéj jego melancholji. Zdawało mi się, że jestem przy śmiertelném łożu jakiego dobrego króla. Podchlebna służalców zgraja, opuszcza go w niemocy, aby nieść hołd szczęśliwemu następcy. Przyjście jego będzie tryjumfem. Wysypią się pochlebcy, i opuszczą przy schyłku; ten, że go zawiodły nadzieje; ten, że dopiąwszy swych życzeń, wyższych się od następcy spodziéwa.

Każdy zajął się przyszłością; o przeszłości wszyscy zapomnieli. Zagłębiłem się więc w niéj. Przeniosłem się cały, w czarowne krainy Wspomnień, sąsiedzkie dziedzin Marzenia. W tém mię nagłe uderzyło zjawisko. Poważny Starzec stanął przedemną: ,,Ty, rzecze, który się mną zająłeś, gdy już wszyscy inni spodziéwanemu następcy palą ofiary, słuchaj ostatniéj mojéj woli. Godzina moja wkrótce wybije. Działania chwil są już niczém; niech przynajmniéj mój następca rad moich posłucha. Niech troskliwie pielęgnuje, słabe jeszcze narodowości zawiązki. Niech zbiéra skąd może, nasiona stałości i zdania własnego, niech je zasieje. Ale próżna to podobno praca; i ja, próżno ją podjąłem. Gdzie niegdzie puściło ziarno

lecz wykorzenił je, zbyt na nieszczęście rospłodzony gatunek Chameleonów, co dopiéro od wyższych przedmiotów koloru nabiéra, albo je stłumił poziomy chwast, pochlebstwa. —

Bywalski.

O DOŚWIADCZENIU.

do Marcina Ż. . . . .

Dotąd Marcinie, świat w omamieniu,
Że rozum w książkach, nie w doświadczeniu,
I jaki taki dopadłszy pory,
Drabuje pilnie mądre autory.
Ale Marcinie, ty sam wiész przecie,
Inaczéj w książkach, inaczéj w świecie.
Wszakże na pamięć Swiętych żywoty
Umiesz i idziesz, przykładem cnoty,
A przed pokusą dla zbawienia duszy
Zamykasz wcześnie i oczy i uszy,
A jednak wyznaj, na co to zda się
Kiedy przypadkiem spojrzysz na Basię.
Ach! próżno, próżno przedſchuci tłumem,
Bronić się wziętym z książek rozumem,
Choćbyś zasypiał w ręku z Salomonem,
Gdy nie doświadczysz, nie będziesz uczoném.

Z tém się nieszczęściem każdy człowiek rodzi,
Że nas nie uczą cudze doświadczenia,
A własne w tenczas najczęściéj przychodzi,
Kiedy nie mamy już nic do stracenia.
I gdzież jest mądrość? Wszyscyśmy tu ciemni,
Wszyscyśmy ludzie, słabi i nikczemni,
A każdy jednak, ma tę w sobie wadę,
Że chce drugiemu dawać światłą radę,
Każdy się lepszym od innych rozumie,
I uczy drugich czego sam nieumie.
Tak po raz piérwszy, gdy na słone wody
Z przyjaznym wiatrem płynie sternik młody,
Starzy go uczą, gdy się fale wzmogą,
Jaką z okretem kierować się drogą,
Jak skały mijać; tak, że ów zuchwały,
Pyszny nauką wygląda nawały.
Lecz gdy ta przyjdzie, a szturm wstanie nagle,
Próżno uczenie nadstawuje żagle,
Wiatry mocniejsze, póki mają siły,
Będą po całém morzu go nosiły;
On jednak drugich, gdy u brzegu stanie,
Uczy, jak na tym pływa Oceanie.
Chciałbym żeby ci wszyscy Autorowie,
Co to i w wolnéj i w wiązanéj mowie
Dla szczęścia przyszłych pokoleń pisali,
Dziś jakim cudem z grobu zmartwychwstali.
Solon, tak sławny mądrych praw ustawą,
Niechby dziś do Trok, przyszedł z jaką sprawą.
Górny Horacy, ozdoba Parnasu,
Co wiersz na złoto, mieniał swego czasu,

Niechby dziś żyjąc poetyckim płodem,
Swiecił łokciami i karmił się głodem.
Cycero Wielki, co wymowy mocą
Bronił niewinnych przed możnych przemocą,
Niechby dziś skruszył umysły sądowe,
Gdy brzęknie złoto ważne, obrączkowe.
Sokrat, co zawsze bajał uczniom swojem,
Że cnota darzy szczęściem i pokojem,
Że o nią naprzód prosić Bogów trzeba,
Niechby dziś z cnotą poszedł żebrać chleba.
Mędrzec lubieżną nanką wsławiony,
Co wszystkim ludziom kazał szukać żony,
Co roszkosz w świecie nad życie ocenił,
Niechby za naszych czasów się ożenił.
I ów, co uczył, jak siedząc na słońcu
Beczkę za cały posiadać dostatek
Niechno by z nami dziś przy Marca końcu,
Przedał ostatnią beczkę na podatek.
Jedenby Likurg, co dla młodzi wprawy
Chronił złodziejów przez śmieszne ustawy,
Dziś by się cieszył takiém zmartwychwstaniem,
Boby się strudził swych uczniów witaniem.

Antoni Gorecki.

M O D Y.

Ner I.

Jeżeli kiedy, to w naszych czasach, ta zmiana którą powszechnie modą nazywamy, ma swoje prawidła,

znaczenie, ledwo że nie konstytucją odrębną. Pory roku nadają pewną różność w ubiorach; lecz mimo tego przyjętego, czyli przepisanego porządku, są pewne stroje ulubione, które jakoby faworyt jaki, w każdą godzinę dnia, w każdą porę roku, w każdéj okoliczności mają piérwszeństwo nad innemi, bez wszelkiego względu. I tak, chustka i szal dywtykowy jakby zaufany przyjaciel, w każdym czasie dobrze jest widziany, czy w zimie, czy w lecie. Perły, Brylanty i Tiule, jakoby najmilszy kochanek, miłe otrzymują kobiet spojrzenia.

Było dawniéj w modzie, że przyjaciel posyłał w podarunku swéj damie papugę, która powtarzając imię jego, przypominała go pamięci damy; ale że te stworzenia, często wyjawiały imię kochanka przy szczęśliwszym; zarzucono więc takowe prezenta głośno gadające . . . Teraz wymyślono dogodniéjsze upominki. Ktoby temu dał wiarę, że już i kamienie gadają do serca? Któż niezna już, co oświadcza kwiatek z Turkusów ułożony? (oto *pensée*) co Szmaragd, Szafir, i t. d. Można dostrzegać, że Brylant, jako znaczy czystość sentymentu, jeżeli waży 6 lub 8 karatów, przemawia mocniéj do serca kochanki. Perły ofiarowane, są skromném westchnieniem; Szafir czułe, lecz melancholiczne tylko, insynuje wrażenie; a *oeil de chat* wcale nudnym staje się tłómaczem. Garnitur z Turkusów rozczula, a jeżeli mu towarzyszą brylanty, słodkie sprawia zachwycenie.

Kochanka odebrawszy prezent podobny dziękuje swemu przyjacielowi *á peu près* w tych słowach: „Przyjmuję twój upominek, szczególniéj dla tego, że ciebie tak dobrze przypomina, bo . . .

Co tylko dobre i piękne razem,
Jest pewno Tobą, lub Twoim obrazem.

Niegdyś Orfeusz swą muzyką wzruszał martwe głazy, że aż podskakiwały; teraz kamienie już gadają, rekomendują i czynne robią przysługi

J. K.

Do Panny. . .

Raz biegając wśród pustoty,
Płochy syn Cyteru Pani,
Zgubił swój kołczan i groty
Któremi rani.

Z spuszczoną główką i w smutnéj postawie,
Szukając zguby od chaty do chaty,
Gdy się błąkał trzpiot skrzydłaty,
Stanął w Warszawie.

Ujrzał Ciebie, zniknęły troski z jego czoła,
Rozśmiał się chłopczyna mały.
„Jéj piękne oczki, zawoła,
Wezmę za strzały.

A. Plichta.

RÓŻA.

Myśl wyjęta z botaniki historycznéj Pani *de Genlis.*

Ten kwiat, którego starożytni nazywali roślin ozdobą, tak mocny ma zapach i tyle powabów, iż go słusznie zrobiono różnych uczuć obrazem. Różą pobożność ozdabia świątynie; miłość i przyjaźń wieńce z niéj wiją; smutek jéj liście po grobach rozsiéwa; skromność się w nią przybiéra. Ona jedna z całego państwa siostr jéj kwitnących, wzbudza myśli najtkliwsze i najwynioślejsze. Jéj świeżość maluje nam młodość człowieka, jéj długo trwały zapach doświadczenie starości.

Róża w mitologji była kwiatem poświęconym. Nią uwieńczony kapłan, niósł modły Najwyższemu. Szczególna rzecz, że jéj starożytni tak smutny nadawali początek, utrzymując, iż wzrosła z krwi nieszczęśliwego Adonisa.

Tkliwsze jest mniemanie niektórych, iż powstała z krwi ranionéj Bogini piękności.

Antonjusz przy zgonie prosił Kleopatry, ażeby na grób jego kazała lać wonie i sypać róże.

Wyspa Rodos, winna nazwisko zadziwiającemu mnóstwu róż, które na niéj rosną.

Czuły obraz znajduje się w starym romansie Ama-

dys. Orjana w więzieniu nie mogąc, ani widzieć się ani rozmawiać z kochankiem, zrzuca mu z wieży różę skropioną jéj łzami.

W Persji dając wino na stół, zatykają butelki albo różą albo goździkiem.

Podług dawnych pisarzy, chrząszcz takim jest nieprzyjacielem róży, że go sam zapach zabija. Dla tego to, pod alegorją malowano w postaci chrząszcza otoczonego różami, człowieka osłabionego roskoszą.

Mówią o kilku osobach, które nagłą śmiercią umarły śpiąc w pokoju, pełnym róż i innych wonnych kwiatów. Tak to pewną jest rzeczą, iż zbytek nawet w najniewinniéjszéj rzeczy szkodliwym być może.

W Turcji róża wyryta na kamieniu, jest oznaką grobowca dziewicy.

DWAJ PRZYJACIELE.

Bajka z *La Fontaine* (Lafąten).

Dwóch prawdziwych przyjaciół w takiéj żyło zgodzie,
Gdzieś tam na Wschodzie,
Że wszystko wspólne między sobą mieli;
Mówią, że w kraju tych dwóch przyjacieli,
Ludzie w przyjaźni zapale
Nieustępują nam wcale.

Raz gdy cichéj nocy cienie,
Snem miłym pokrzepiały całe przyrodzenie,
Jeden z naszych przyjaciół nagłą zdjęty trwogą,
Zrywa się ze snu, i skwapliwą nogą
Biegnie w oddrzwia drugiego i budzi służących,
Smacznie śpiących:
Ten co spoczywał zdziwiony,
Bierze worek, miecz porywa,
Idzie ku budzącemu, i tak się odzywa:
,,Nie jesteś wezwyczajony,
,,Kiedy śpią wszyscy, biegać po nocy,
,,I myślałem, że lepiéj umiész użyć czasu
,,Oddanego do wywczasu.
,,Może chcesz mojéj pomocy,
,,Jeśliś zbyt wiele przegrał, oto worek złota.
,,Może cię kto obraził jakowym wyrazem,
,,Mam oręż, idźmy razem,
,,Jeśli sypiać samemu bierze cię tesknota,
,,Dość piękną niewolnicę niedawno dostałem,
,,Przyjmij ją z méj ręki.,,
;,Nie. odpowie przyjaciel, nic z tego niechciałem,
,,Za twą gorliwość składam ci dzięki.
,,Smutnym ujrzałem cię we śnie,
,,Bojąc się czy nieprawda, przybiegłem niewcześnie
,,Przerwać twój pokój; tego co się stało,
,,Ten to sen niegodziwy, przyczyną jest całą,,
Ktoryż z nich lepiéj kochał, jak się wam też zdaje?
Do rozwiązania tę trudność podaję.
Jaki to skarb jest drogi przyjaciel prawdziwy!
On śledzi twe potrzeby w głębi twojéj duszy,

On ci oszczędza ten stan wstydliwy,
W którym konieczność do wyznań ośmiela.
Lada sen, lada fraszka, wszystko strach w nim wzruszy,
Gdy idzie o przyjaciela.

M. F.

S T Ó Ł.

Z nouveau Voyage autour de ma chambre.

Sprzęcie szanowny i tak pożyteczny człowiekowi, świadku prac, zabaw i uciech jego, ty co jesteś teatrem, na który występują na przemian wszystkie namiętności nasze, czemuż wprawniéjsze pióro, nie kreśli tych wyobrażeń, które w około ciebie spostrzegam.

Tu przemieniony w gotowalnię, służysz za ołtarz dziwactwu, miłości własnej, i lekkomyślności. Widzę siedzącą przy tobie Laurę, właśnie wspaniały strój kończy, przewiązuje przepaskę i kapelusz pieknym przyozdabia kwiatem: oczy jéj na pochlebne zwierciadło zwrócone, zdają się spoglądać z tryjumfem na grono czcicieli.

Tam znowu mgła rozproszonego pudru, dae poznać smutne schronienie prawnika. Na piérwszym zaraz wstępie niezliczone pliki bazgranin i twarz jego wybladła, wskazują tę nędzną podporę pieniactwa. W około niego zgromadzą się strony, każda swoją sprawę wykłada, radzą się zdartéj i zbutwiałéj księgi: jéj wy-

rok, przywodzi do rozpaczy jednych, niesie radość drugim, a wszystkim zarówno zapowiada zgubę. Krzyczą w głos, każdy otwiéra swoje zdanie i za jego słusznością obstaje; wszyscy mówią, nikt nie słucha, wrzawa staje się powszechną, a kończy się na tém, że jeden drugiego nie rozumie.

Ucicha wrzaskliwa zgraja: odmienny obraz stawia się przed oczy. Oto bankier roskłada swoje rejestra i złoto liczy: około niego siedzi piętnastu towarzyszy; wszędzie najgłębsze panuje milczenie, tylko powabny dźwięk pieniędzy, kiedy niekiedy, tę ponurą przerywa cichość. Masz tu obraz człowieka posiadającego dostatki, przeciwny obrazowi owego pieniacza, który wszystko czynił, aby mógł coś posiadać.

Bije godzina trzecia, zbliża się objadowa pora, czas ustąpić służącym wspaniałą zastawiającym ucztę. Przybywa Pan domu, zabiéra miejsce; ogromne krzesło zaledwo objąć może jego obwód okazały. Obok niego bez porządku zasiada liczna pasibrzuchów zgraja. Wszystkich prosił, choć żadnego nieznał, bo dość dla jego dumy, kiedy go chwalą, kiedy chwalą wino i wytwornego kucharza. Sama myśl, że ma u siebie stoły otwarte, mile pychę jego łechce; a gdy zgłodniali jego pochlebcy chciwie pożerają, sam nasycony podobny jest do owego Midasa, który wszystkie potrawy w złoto przemienił....

Otoż macie, moi przyjaciele, obraz prawdziwéj roskoszy!

Lecz cóż znaczą te worki złota! Czyliż znowu jaki Bankier przychodzi zająć te stoły? Ale nie; te karty, te narzędzia, ci gracze, którzy z taką chciwością ssą ostatni grosz tylu ofiar nieszczęśliwych zwodniczą uwiedzionych nadzieją, wreście te wszystkie piekielne przygotowania, zapowiadają nieszczęśną grę Faraona.

Wkrótce los ślepy wyrok swój wyda. Patrz z jaką bojaźnią, jak chciwie każdy z nich oczekuje wyciągnięcia karty. Po wyjaśnionéj twarzy jednych, po ponuréj postawie drugich, poznasz i tych w których fortuna nieszczęsną wzbudza nadzieję, i tych których przegrana do wściekłości przywodzi. Ale co cię najmocniéj oburzy, oto poważny człowiek, którego wśród tego tłumu widzisz, ojciec liczneé familji, rozproszył tu majątek żony, należący do własnych dzieci. Nieszczęsny utracił swoją i ich spokojność, poświęcił honor i szacunek osobisty, a tego jeszcze wieczora, na ich lube pieszczoty i przymilenia, odpowie im tą nieszczęsną nowiną, że ich na zawsze do żebractwa przywiódł.

Widzę łzy w twoich oczach. Zachowaj je raczéj dla tego nierozsądnego młodzieńca, co chciałby sam przed sobą ukryć okropność zbrodni, którą popełnił. Syn jedyny poczciwego człowieka, ostatni potomek familji, która w nim całą położyła nadzieję, kochany przez najpiękniéjszą z kobiét, miał się z nią właśnie wiecznym wezłem połączyć; kiedy znalazłszy ojca szkatułę otwartą, powazył się porwać z niéj to, co ten czuły starzec, tak troskliwie dla niego ukrywał. Oto prze-

grywa ostatek summy, która go wszelkiéj czci pozbawiła..... Co do tego, który przy tobie stoi, ten mojém zdaniem, godzien jest najmocniéjszéj pogardy: dotąd uchodził za człowieka niczém niesplamionego. Jeden z jego przyjaciół, zwiedziony tą mylną sławą, udając się w odległe kraje, złożył u niego skarby, i własną powierzył mu córkę, nad któréj wychowaniem miał czuwać. Łatwowierny przyjacielu! najnieszczęśliwszy ojcze! Nie znajdziesz już majątku. .... a córkę, pieczy publicznéj zostawioną zastaniesz .... — Czylisz słyszysz obok nas te narzekania, tę wrzawę, te obelgi, te bezecne wyrzuty! Zbierają się, tłoczą, krzyczą, wnidźmy w ten tłum ludzi. Patrz jak się kłócą dwa zajadli gracze; z jakiegoż powodu? ... Talar jeden był przyczyną ich poróżnienia. ... Oto jeden drugiego w twarz uderza; wyzwali się, wkrótce jeden z nich polegnie. ... Jeden z nich! a wszakże ten nieszczęśliwy, jest ojcem licznéj familji; tamten zaś synem zgrzybiałéj matki, i jedyną podporą jéj niedołężnéj starości.... Nędzny człowieku! wynalazek kart, więcéj ci sprowadził nieszczęścia, niż wynalazek prochu! ...

Ale cóż się to za rada zgromadza! cóż znaczą papiéry na tym stole rozrzucone? Czyż to są ludzie, którym władza nad drugiemi jest powierzoną! Bez wątpienia muszą być od nich mędrszemi! przeświadczmy się. Jak każdy z nich w mowie dobrem powszechnem jest zaprzątniony, a w sercu o własnych tylko myśli korzyściach!

Za nic sobie mają poświęcić pomyślność narodu, byle szkodzić temu, którego nienawidzą. Czcza gadanina, zowie się u nich rozstrząśnieniem rzeczy, a w najważniéjszych przedmiotach, po długiéj ale próżnéj rozmowie, piszą wyrok, jaki im duch stronnictwa podyktuje.

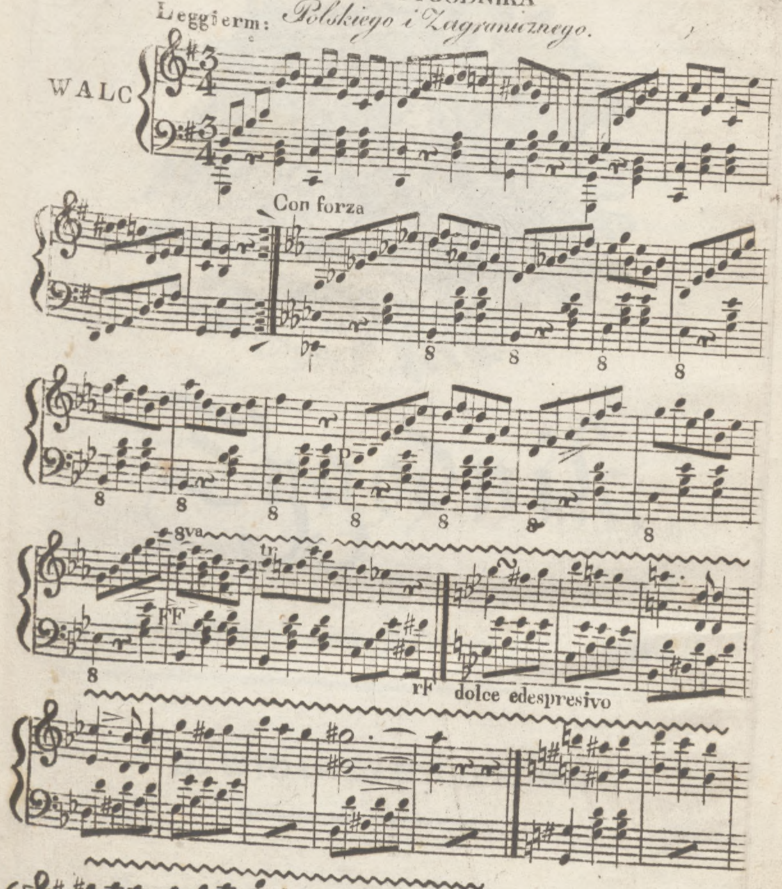
Zbliż się młoda piękności; ty zagładź w myśli mojéj te przykre obrazy. Oto piękna Ernestyna, chce pisać, serce jéj bije, pierś się wznosi, siada troskliwie; drżąca jéj ręka zaledwo pióro prowadzić może, kreśli kilka liter słabych..... Szczęśliwy młodzieńcze! ty się reszty domyślisz, a to pomięszanie nowy dla ciebie wdzięk będzie miało....... Twarz się jéj rumieni, wzdycha, piękną ręką zakrywa oczy; schyla głowę, kropla łez spada z jéj oczu i kobierzec moczy..... Jeżeli kto mogł mieć sobie za roskosz być sofą; czegóżbym ja w téj chwili niepoświęcił, gdybym mógł zostać stołem. Uśmiechasz się Pani. . . Tak jest, najchętniéj przemieniłbym się w stół, dla téj którą kocham.

LOGOGRYF.

Z ośmiu członków złożony,
Dziś jestem urodzony. --
Spodziéwam się, że zostanie
Spełnione moje żądanie,
Jeżeli nie dla wszystkich, przynajmniéj dla wielu
Stać się przyjemnym, i tym dopiąć celu.
Przełóż me członki, a znajdziesz wesele,
I tytuł, jaki sobie dają przyjaciele, (zwierze,
Godło prawego męża, wdzięk, strój damski,
I to co szklarz przed zimą, do swéj pracy bierze.

D . . . .

DO TYGODNIKA *Polskiego i Zagranicznego.*



w Warszawie. Sztychował A: Płachecki. pod Liczbą 147. przy Ul: Dunay.